

Rozmowa z Michele Kefeli

W poszukiwaniu

Urodzony we Francji syn porewolucyjnego emigranta opowiada o odkrywaniu swojego krymskokaraimskiego dziedzictwa.

Hanna Pilecka: Chociaż uczestniczyliśmy w tych samych wydarzeniach, takich jak liczne szkoły letnie w Trokach czy warszawskie Karaj Kiuñlari w roku 2003, nigdy nie poznaliśmy się osobiście. Kiedy w końcu poprosiłam Mariolę Abkowicz o kontakt, zaskoczyła mnie zupełnie swoim pierwszym mailem – wcale nie był po francusku, tylko po rosyjsku! Jak udało Ci się tak sprawnie opanować ten trudny język i alfabet, skoro od urodzenia mieszkasz w Paryżu?

Michel Kefeli: Rosyjski był językiem mojego ojca. Pamiętam, że często słyszałem, jak ojciec, mój stryj Jakow, mój starszy brat Youssouf, a czasem także serdeczny przyjaciel stryja, Szymon Borysowicz Szyszman, dyskutowali po rosyjsku, zawsze zażarcie, z wielką pasją, na najróżniejsze tematy.

Na co dzień rozmawiałem z rodzicami po francusku lub niemiecku, który był językiem ojczystym mojej matki, więc nie wszystko z tych męskich dialogów mogłem zrozumieć. Ale przez całe dzieciństwo, wraz z siostrą, Hélène Arzu, uczęszczałem do rosyjskiej czwartkowej szkoły i jeździłem na wakacyjne obozy organizowane przez rosyjską emigrację. Moja matka, Marianne Kefeli, nie znała w ogóle tego języka, lecz chciała, byśmy się go uczyli. Regularnie zabierała nas do rosyjskiego klubu filmowego „L'oiseau de feu” [„Żar-ptak” – przyp. red.] na filmy, których sama nie rozumiała, ale uważała za istotne dla naszej edukacji. Po śmierci ojca straciłem kontakt z językiem rosyjskim i prawie zupełnie go zapomniałem, a w każdym razie tak mi się przez długie lata wydawało.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Trok, w roku 1992, miałem za zadanie przekazać pozdrowienia od Szymona Szyszmana, który młodość spędzał w Wilnie. Mój rosyjski był wtedy po prostu okropny (co na pewno pamiętają jeszcze moi troccy przyjaciele). Tak więc rozpoczęła się reedukacja: wśród licznych toas-

tów, piosenek z akompaniamentem gitary i wybuchów śmiechu mój rosyjski powrócił, i choć ciągle jeszcze jest pełen błędów, to jednak znowu potrafiłem zrozumieć ludzi i mówić w tym języku! Czułem ogromne wzruszenie.

Przyjaciele w Trokach wykazali się wielką wytrwałością jako opiekunowie moich praktyk: niezwykle regularnie cała kompania kazała mi powtarzać pewne słowa, zwłaszcza „Tarmazit! Tarmazit!” (ros. *тормозить* ‘hamować’ – przyp. red.) lub w wariacie „à la française”: „Tarmazu, tarmazu!” za każdym razem, gdy wznoszono szklanice. Dopiero później dotarło do mnie, że żartowano z niepokojącego podobieństwa butelek obecnych na naszych wieczorkach do tych z... płynem hamulcowym.

Szybko robiłem postępy. A ta moja reedukacja jest kontynuowana przy każdej okazji...

To był pierwszy z etapów, które sprawiły, że rosyjski do mnie wrócił. Potem było czytanie obszernych wspomnień stryja Jakowa, w większości nigdy niepublikowanych, co stało się moją pasją. A wreszcie – zaskoczenie i radość towarzyszące odnalezieniu rodziny pozostałej w Rosji. Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, a mówić musieliśmy... po rosyjsku.

HP: A w życiu zawodowym? Czy zdarzały się sytuacje, kiedy rosyjski przydawał się w pracy? Albo kiedy obowiązki dawały Ci szansę doskonalenia tego języka?

MK: Nie od razu. Po ukończeniu germanistyki zrobiłem specjalizację zawodową dokumentarzysty. Następnie, by zarobić na życie, częściowo przypadkiem, podjąłem pracę w instytucji publicznej zwanej „Francuskim centrum handlu zagranicznego”. Przygotowywałem podsumowania informacji gospodarczych dla przedsiębiorstw, ale przeważnie na bazie tekstów pisanych po francusku lub niemiecku. Wtedy istniał jeszcze Związek Radziecki i pochodzące z za „żelaznej kurtyny” artykuły dotyczące ekonomii były dość monotonne.

Mojsiej Kefeli, który na emigracji przyjął imię Michel, trzymający w ramionach młodszego syna, również Michela.



Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.

odłamków mozaiki

Z tej epoki pozostało mi zabawne wspomnienie. W pewnym bułgarskim artykule tłumaczonym na francuski przeczytałem coś takiego: „Bułgarscy agronomowie z dumą zawiadamiają, że udało im się wprowadzić w życie istotną innowację rolniczą – słoneczniki, które odwracają się na wschód!”. Długo się zastanawiałem, czy to był przykład częstego w biurokracji dowcipu niezamierzonego (co najbardziej prawdopodobne), czy też może trafiłem na „dysydenta”, który w ironiczny sposób dawał dyskretnie znak, że stracił już złudzenia.

HP: Tak to było po naszej stronie żelaznej kurtyny, niektórzy tracili złudzenia, inni nadzieje. A jednak przełom lat 80-tych i 90-tych przyniósł wielkie zmiany. Na ile je odczułeś?

MK: Gdy radziecki blok przestał istnieć, zmienił się charakter mojej pracy. Wobec doniosłych zmian, jakie nastąpiły w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, wzrósł popyt na informacje dla francuskich przedsiębiorstw. Zostałem poproszony o stworzenie dla tych firm możliwości wymiany doświadczeń poprzez organizowanie spotkań informacyjnych w Paryżu we współpracy z ambasadami Francji w poszczególnych krajach. To było pasjonujące zajęcie, a także znakomita okazja do nawiązania kontaktów: wyjeżdżałem w delegacje do działających na wschodzie francuskich przedsiębiorstw i ambasad, a potem przedłużałem pobyt, by w wolnym czasie spotykać się z Karaimami (przy okazji jednej z pierwszych zawodowych misji zapukałem do drzwi pana Aleksandra Dubińskiego w Warszawie, po czym po raz pierwszy pojechałem do Wilna, Moskwy, Petersburga, Kijowa i innych miast), a w końcu dzięki tym podróżom służbowym udało mi się odnaleźć rodzinę pozostałą w Rosji.

Rosyjski zdecydowanie się przydawał, na przykład kiedy delegaci z Rosji uczestniczyli w paryskich spotkaniach, w ramach doskonalenia zawodowego mogłem więc uczyć się na zaawansowane kursy językowe.

W tej pracy krzyżowały się drogi wielu osób. I niejednokrotnie zdarzało mi zaczepiać nieznamomych, pytając „Przepraszam bardzo, czy

nie jest pan przypadkiem karaimskiego pochodzenia?”. Tak właśnie poznałem Georges'a Lopato oraz Michela Katlamę, który z kolei przedstawił mi swojego stryja, Jacques'a, urodzonego w Moskwie. Później Jacques Katlama spotykał się ze mną wiele razy i opowiadał, jak podczas wojny jego rodzina ukrywała Żydów i przechowywała broń dla ruchu oporu. Mówił mi też o swoim bracie Aleksandrze, także urodzonym w Moskwie, który przez Hiszpanię przedostał się do Londynu, skąd jako spadochroniarz został wysłany do Francji, by na miejscu organizować sieć Résistance.

Na jednym z organizowanych przeze mnie spotkań Samuel Kuba, dzieląc się z publiczno-

Josif Kefeli, starszy hazzan odeskiej kienesy z żoną, Arzu i najstarszą wnuczką, Lizą. Odessa, 1924 r.



Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.

ścią swoim doświadczeniem zawodowym, tłumaczył, jak od wielu lat udawało mu się sprzedawać w Rosji tysiące byków reproduktorów. Jego też spytałem: „Bardzo przepraszam, ale nazwisko Kuba wydaje mi się znajome, nie ma pan przypadkiem karaïmskich korzeni?”

Mnie też kiedyś tak zaczepiono. Podczas formalnego obiadu w przerwie spotkania informacyjnego, osoba siedząca obok pyta, skąd się wywodzi nazwisko Kefeli. Wyjaśniam, że z Krymu i że oznacza „ten, który pochodzi z Kefe”, co jest dawną nazwą obecnej Teodozji. I natychmiast z drugiego końca stołu ktoś woła: „Pan jest z pochodzenia Karaimem? Ja też jestem Karaimem!” Moją pierwszą reakcją była myśl, że z punktu widzenia statystyki to nieprawdopodobne, że to na pewno jakieś nieporozumienie. A jednak! Tego dnia poznałem Leona Kozguna, sympatycznego Karaima z Turcji, z którym po obiedzie wybraliśmy się na kawę...

HP: Tam, gdzie niewiarygodne staje się możliwe, w mieście uwielbianym przez prawie wszystkich, z bardzo różnych powodów... A dla Ciebie które oblicza Paryża są najważniejsze?

MK: Urodziłem się w XV dzielnicy, najgęściej ze wszystkich dzielnic zaludnionej przez rosyjskich uchodźców (tylko w naszej kamienicy były trzy rodziny z Rosji) i nadal mieszkam

w Paryżu. Lecz ten Paryż ogromnie się zmienił od czasów mojego dzieciństwa, kiedy jego zróżnicowani mieszkańcy odznaczałi się większą skromnością i prostotą, byli bardziej skłonni do integracji i bliżsi sobie nawzajem, a na ulicach kwitły małe sympatyczne sklepiki i punkty usługowe.

Kocham to miasto, w którym mam wrażenie, że jak to mówił jeden z moich ulubionych autorów, André Breton, „rytm życia nie jest taki, jak gdzie indziej”. Ale bardziej niż zabytkami interesuję się ludźmi, którzy tu spędzają życie, atmosferą poszczególnych dzielnic, tym, co zostało z tego starego, bardziej przyjaznego Paryża, a także tym wszystkim, na co Paryż daje przyzwolenie, jak na przykład trwającymi całe lato tańcami na brzegach Sekwany. Wydaje mi się, że w Paryżu każdy człowiek z pasją, czegokolwiek by ona dotyczyła, może spotkać innych, z którymi będzie mógł się podzielić zainteresowaniami, wspólnie je zgłębiać i poszerzać.

Oto osobisty przykład z moich wspomnień: jako student w pewnym okresie interesowałem się pochodzącą z Chin grą go, w której szranki staje dwóch graczy, jeden ze 180 białymi pionkami, drugi ze 181 pionkami czarnymi. Na pierwszym piętrze pewnej kawiarni w dzielnicy

Duchowieństwo karaïmskie z hachanem taurydzkim, Serają Markowiczem Szapszałem na czele. Obok niego, w haftowanej szacie, Josif Mojsiejewicz Kefeli.



Fot. Muzeum Historii i Etnografii Krymskich Karaïmów im. S. I. Kuszul w Eupatorii.

Montparnasse znalazłem klub go dla młodych graczy, który często odwiedzałem, raczej jako widz niż zawodnik. Tam poznałem wybitnego gracza o nazwisku Lim Yoo Jong, uchodzącego z Korei, którego tak jak inne pokolenia uchodźców spotkało w życiu wiele nieszczęść, i który utrzymywał się z pieniędzy, jakie młodzi pasjonaci z klubu płacili za możliwość zmierzenia się w grze z zawodnikiem na poziomie międzynarodowym. Rozmawiałem z nim o wielu sprawach niezwiązanych z go, nawiązaliśmy nić przyjaźni, a pewnego dnia zapytał: „Wie pan, za co kocham grę w go?” Byłem bardzo wzruszony faktem, że tak znakomity gracz postanowił mi to wyznać, „powierzyć swój sekret”. Wtedy on, który tak jak moja rodzina został wypędzony z własnego domu przez wojny i ekspatriację, powiedział: „W życiu nie zawsze można udowodnić, że głupota jest głupota. Ale w go – zawsze.” Przytoczyłem tu tylko jeden z wielu przykładów pasji poznawczych i nieoczekiwanych spotkań, jakie Paryż mi osiściście umożliwił.

Lecz tak jak mówisz, Haniu, to miasto jest uwielbiane przez niemal każdego, uważane za „stolicę świata”, i niezmiennie przyciąga swoimi światłami i zabytkami.

I tak mój stryj Jakow, który w wieku 24 lat kontynuował studia medyczne, wyruszył z Krymu, by zwiedzić Paryż przy okazji wystawy światowej w roku 1900, nie wyobrażając sobie nawet, że znacznie później zostanie zmuszony udać się tam właśnie na emigrację i tam zakończyć życie. Swoją pełną przygodę wyprawę opisał w obszernym tekście „В Париже в 1900 году (воспоминания русского студента)”. Opowieść ta została opublikowana w 2016 roku w Symferopolu w zbiorze *Историко-культурное наследие крымских караимов*, dziś jest ona dostępna także na stronie internetowej: karaikale.wordpress.com/наши-публикации/.

Mój stryj wykazuje się niezwykle sprawną pamięcią, wspominając szczegóły tej podróży i swoje wrażenia. Na przykład w ostatnim rozdziale zatytułowanym „Zaproszeni przez Prezydenta Republiki”, z humorem opowiada, jak przez niezwykły zbieg okoliczności rosyjscy studenci, w tym on sam, którzy się wcześniej nie znali i na miejsce przybyli każdy z osobna, ku swojemu zaskoczeniu zostali potraktowani jako „Delegacja rosyjskich studentów” i otrzymali oficjalne zaproszenie na przyjęcie w siedzibie głowy francuskiego państwa.

To, co mnie szczególnie porusza w tej opowieści, także z powodów rodzinnych, to słowa,

jakimi stryj relacjonuje przygotowania do wyjazdu do Paryża i powrót do domu na Krym. Pozwolę sobie przytoczyć ten fragment:

„W maju roku 1900 zakończyły się egzaminy Carskiej Akademii Medycyny Wojskowej, zdałem na piąty rok studiów, dostałem stypendium na cztery miesiące do przodu (zaledwie 120 rubli) i udałem się do rodziców do Symferopola, w sekrecie wciąż marząc, że z tymi pieniędzmi pojadę na wystawę światową do Paryża. Lato dobiegało końca. Pod koniec lipca ojciec dorzucił do moich oszczędności dodatkowe 50 rubli, ale stan babci, która cierpiała na chorobę serca, opóźnił mój wyjazd. Ojciec powtarzał: «Widzisz, jak źle się czuje twoja babcia, poczekaj, nie wyjeżdżaj». Siedząca w pobliżu, oddychająca z trudem, bo tak słabe było już jej serce, moja dobra babcia usłyszała słowa ojca, jej syna, przywołała mnie do siebie i rzekła: «Wyjeżdżaj od razu, nie zwlekaj. Dożyję do twojego powrotu». Potem, w rozmowie z moim ojcem, powiedziała mu, by mnie nie zatrzymywał. Matka przygotowała mi rzeczy na wyjazd. Mając na względzie moje nader skromne zasoby finansowe, postanowiliśmy do minimum ograniczyć bagaże, bym mógł się obejść bez furmanek i tragarzy. (...)

Po drodze na krótko zatrzymałem się w Sewastopolu u prababci i pojechałem do Nikołajowa, by odwiedzić moją ukochaną, przysłążoną. W Nikołajowie otrzymałem telegram od ojca: babcia umarła, nie doczekała, jak miała nadzieję, mojego powrotu.

W żałobie po mojej dobrej babci kupiłem bilet trzeciej klasy do Aleksandrowa, by stamtąd jechać do Warszawy. (...)

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po powrocie do domu, była wizyta na cmentarzu, na grobie kochanej babci, która nie doczekała mojego przyjazdu. Wsiedliśmy z ojcem do powozu, zajechaliśmy po pomocnika hazzana i udaliśmy się na cmentarz karaimski leżący daleko za miastem. Ojciec odczytał modlitwę nad świeżym grobem swojej matki, położonym samotnie na szczycie niewielkiego wzgórza. Ciężki kamień zwrócony na południe ustawiono u wezglowia. Zgodnie z tradycją wypowiedzieliśmy „Allah rahmet etsyn” (Niech Bóg okaże łaskę) oraz rzuciliśmy na grób po garści ziemi, i tak w ciszy, z opuszczoną głową, przez chwilę staliśmy nieruchomo, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną. Ponownie zatrzymaliśmy się wszyscy trzej przy bramie, pomocnik mojego ojca przeczytał modlitwę o pokój duszy wszystkich zmarłych spoczywających na tym cmentarzu, ze wzruszeniem i smutkiem pokło-

Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.



Monia, czyli Mojsiej-Michel Kefeli w szkolnym mundurku. Ok. 1900 r.

Najstarsza córka Josifa i Arzu, Elena-Styra (Ester) Borodina-Kefeli z mężem, Arkadijem Władimirowiczem Borodinem i córką, Elizawietą Azarenko-Borodina. Odessa, 1924 r.



Fot. Archiwum M. Kefeli, Paryż.

niliśmy się nisko w ich stronę, przeszliśmy przez bramę i pojechaliśmy do miasta.

Gdy opowiadałem grupie kolegów o Paryżu i swoich wrażeniach, wszyscy interesowali się Wystawą i dziwili się pomyślności, która towarzyszyła mi w podróży, tak obfitującej w ciekawe zdarzenia. Ale kiedy im powiedziałem, że byłem na przyjęciu u Prezydenta Republiki, wszyscy uznali, że po prostu kłamię.”



Choć Paryż dla mojego stryja w młodości oraz dla jego przyjaciół na Krymie stanowił to nadzwyczajne „gdzie indziej” i chociaż nadal mnóstwo ludzi tak go postrzega, to dla mnie to miasto nie mogło być „gdzie indziej”, bo mieszkam tu całe życie.

HP: Czy są w nim miejsca szczególnie Ci bliskie, wyjątkowe?

MK: Jednym z zakątków Paryża, które od zawsze szczególnie lubię i pokazuję wszystkim zagranicznym przyjaciołom w ramach zwiedzania, jest herbaciarnia przy paryskim meczecie. Przekraczając jednym śmiałym krokiem bramę wiodącą do niewielkiego ogródka, w którym słychać szmer fontanny w cieniu drzewa figowego, gdzie herbatę pije się na dużych, okrągłych, rzeźbionych miedzianych tacach, mam wrażenie, jakbym nagle się rzeczywiście znalazł „gdzie indziej” w przestrzeni i w czasie, gdzieś na Wschodzie, na przykład w tym

cudownym miejscu, jakim jest Pałac Chanów Krymskich w Baczysaraju, który później miałem okazję odwiedzić.

HP: Wschód przyzywał Cię od zawsze... Tam właśnie, w głębi Rosji czy na Ukrainie odnalazłeś najbliższą rodzinę, co na pewno było związane z wielkimi emocjami.

MK: Tak, bo dzięki odszukaniu rodziny stałem się lepiej poznać tego, którego utraciłem w dzieciństwie – mojego ojca. A także to wszystko, co go ukształtowało: naszą rodzinę, nasz język (rosyjski, ale i karaimski), naszą historię, to, kim byliśmy, rodzinne wspomnienia i karaimskie przysłowia, na jakie wciąż natrafiałem w pamiętnikach stryja Jakowa, całe nasze środowisko. Nie byłem jedynym, któremu to odebrano, także mojemu rodzeństwu, siostrze i bratu, podobnie jak ojcu i stryjowi, i całemu pokoleniu, które wyemigrowało do Francji, oraz ich potomkom. Wobec tak wielkich braków każde nowe wzruszenie czy każda nowa informacja to jednocześnie odzyskanie utraconej własności, rekonstrukcja pamięci i pocieszenie.

HP: Dotarłeś do Odessy, miasta bardzo ważnego dla wielu karaimskich rodów. Co mógłbyś nam opowiedzieć o dziadku, postaci kluczowej dla odeskiej gminy?

MK: Moich dziadków nie znałem, ojca i stryja Jakowa – zbyt mało, a drugiego stryja i ciotek, którzy pozostali w Rosji – wcale. Niemal wszystko, co o nich wiem, zostało mi przekazane przez mojego starszego o 21 lat brata, Yousoufa, w rozmowach, jakie udało mi się przeprowadzić z kuzynami, lub poprzez odnalezione zapiski. To nie obraz całości, lecz zebrane po latach kamyczki z wyblakłej mozaiki. Pozwól, że przedstawię kilka z nich:

Drzewo genealogiczne

Część dotycząca przodków i wcześniejszych pokoleń zredagował mój brat, Youssouf pod dyktando stryja Jakowa. Natomiast część dotycząca dzieci i wnuków naszych dziadków, Josifa i Arzu, powstała w oparciu o informacje zebrane przez Władimira Bielikowa, syna mojej stryjecznej siostry, Soni Bielikowej-Szamasz.

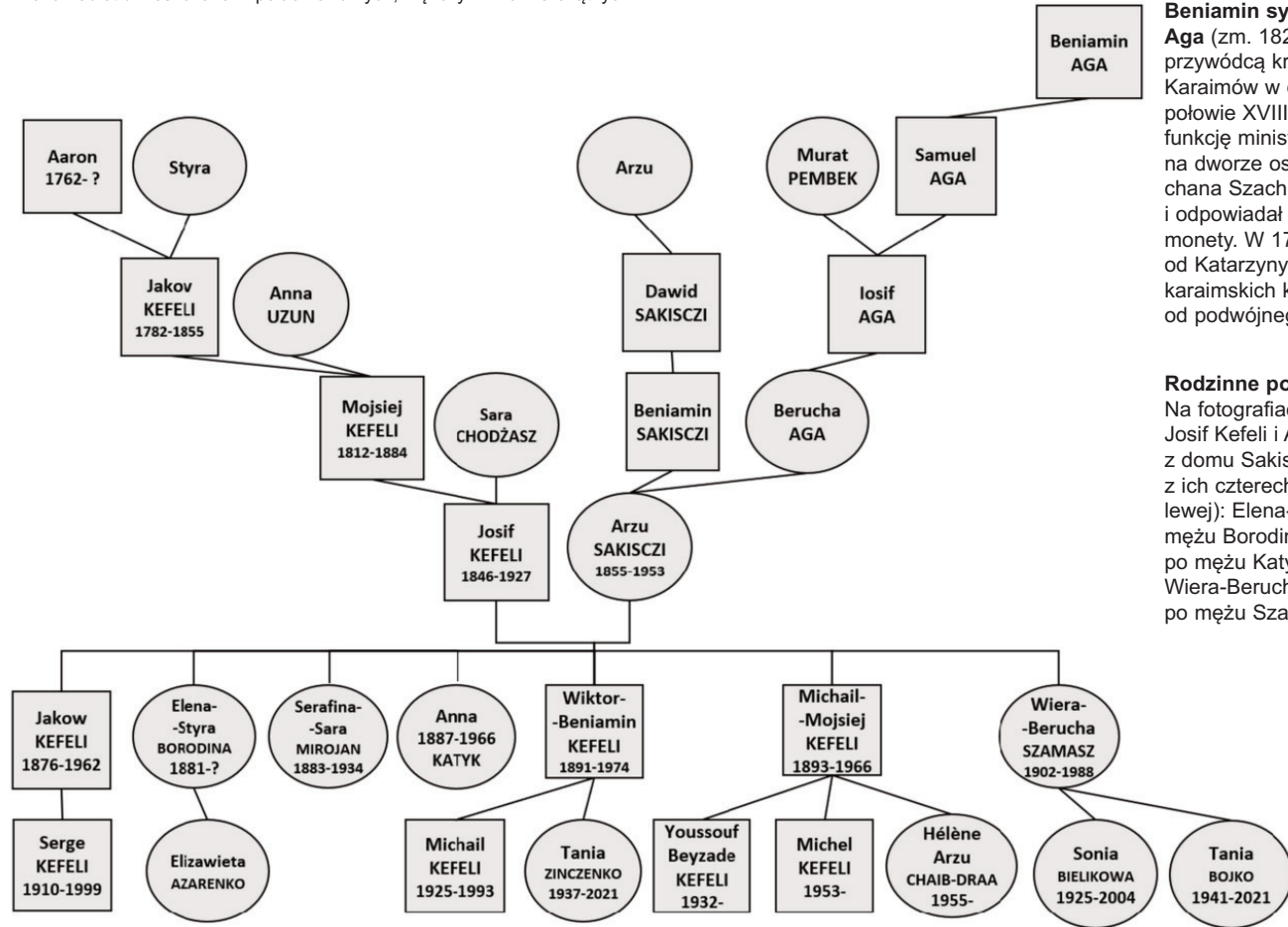
Niektóre wspomnienia z Odessy o naszych dziadkach stryj przekazał mojemu bratu, Youssoufowi. Przytoczę tutaj trzy z nich:

Minia i Monia, czyli kłopoty z braciszkami

Stryj Jakow był znacznie starszy od swoich dwóch braci, Minii (Benjamina-Wiktora)

Legenda

Na wykresie pokazano przodków ojca Michela Kefeli po mieczu (rodzina Kefeli) i kądzieli (rodzina Sakisczi) oraz potomków jego i jego rodzeństwa. Imiona kobiet umieszczono w polach owalnych, mężczyzn – czworokątnych.



Beniamin syn Samuela Aga (zm. 1824) był przywódcą krymskich Karaimów w drugiej połowie XVIII w. Pełnił funkcję ministra finansów na dworze ostatniego chana Szachin Gireja i odpowiadał za bicie monety. W 1795 r. uzyskał od Katarzyny II zwolnienie karaimskich kupców od podwójnego podatku.

Rodzinne portrety
Na fotografiach poniżej: Josif Kefeli i Arzu z domu Sakisczi oraz trzy z ich czterech córek (od lewej): Elena-Styra po mężu Borodina, Anna po mężu Katyk oraz Wiera-Berucha po mężu Szamasz.



Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.



Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.

Aktorzy-amatorzy oraz autorka sztuki „Karaimskie wesele” wystawionej w Odessie w roku 1918.

Pierwszy z lewej Moisiej-Michel Kefeli w pożyczonej od swego ojca szacie hazzana.

i Monii (mego ojca, Moisiej-Michała), których dzieliły zaledwie dwa lata różnicy wieku i liczne powody do przepychanek. Ku ogromnemu zmartwieniu rodziców tyfus, choroba typowa dla epoki i bardzo groźna, na wiele tygodni przykuła ich do łóżek. Pewnego dnia lekarz przychodząc na kolejną z regularnych wizyt, usłyszał harmider dochodzący z ich pokoju – chłopcy wyklócali się na cały głos! Z uśmiechem na ustach doktor odwrócił się do moich dziadków i oświadczył: „Mogą państwo być spokojni, dzieci wyzdrowiały!”.

Tych dwóch urwisów cechowała wielka ciekawość. Przy okazji któregoś religijnego święta karaimskiego, zaintrygowani faktem, że ich ojciec od wielu godzin pozostaje sam w półmroku jednego z pokoi, zapragnęli dowiedzieć się czegoś więcej. Oko przyklejone do dziurki od klucza wydało im się najlepszym sposobem na zgłębienie tajemnicy. Na tym zajęciu przyłapała ich matka, czyli moja babcia Arzu, i przegoniła małych podglądaczy: „Zostawcie

ojca w spokoju, idźcie bawić się gdzie indziej. Ojciec się modli!”.

1904: Wybieraj, co chcesz!

Stryj, zatrudniony jako lekarz wojskowy w rosyjskiej marynarce wojennej, wypłynął na Daleki Wschód (opowieść o podróżach i życiu na pancerniku zawarł w niepublikowanym rękopisie „Ha Пeпeбepе”). W styczniu 1904 roku doszło do ataku Japończyków. Rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska i oblężenie rosyjskiej fortecy Port-Artur (o swoich przeżyciach opowiedział w pracy „Port-Arturcy o by- loj strade”, która również nie doczekała się jeszcze pełnej publikacji). Okręt, na którym stryj pracował jako lekarz, „Stiereguczij”, zaatakowany przez wojska japońskie, został zatopiony i tylko czterem marynarzom udało się przeżyć. Ta wiadomość dociera do Odessy, pogrążając moich dziadków w żalobie po synu.

Po pewnym czasie przyszła depesza: Jakowa nie było na pokładzie! Przebywał na lądzie,

wezwany do leczenia chorych. Upojona radością babcia Arzu wybiegła z domu na ulicę. Spotkawszy żebraczkę, powiedziała do niej: „Myślałam, że mój syn nie żyje, a właśnie się dowiedzieliśmy, że ocala! Mam do ciebie prośbę. Wejdz do mojego domu, obejrzyj wszystko, co tam jest i wybierz, co ci się spodoba. Weź sobie, niech ci dobrze służy!”.

1905: Pogrom

Stryj Jakow opowiadał mojemu bratu Youssoufowi, który z kolei przekazał tę opowieść mnie, że w październiku 1905 roku, w czasie rozruchów na pancerniku „Potiomkin”, doszło w Odessie do strasznego pogromu. Liczna grupa Żydów, próbując się ratować, wbiegła na dziedziniec kienesy, której *ułtu hazzanem* (starszym hazzanem) był mój dziadek, Josif Mojsiejewicz Kefeli. Na dziedzińcu Żydzi błagali o pomoc, tymczasem policja w żaden sposób nie reagowała. W tej sytuacji mój dziadek włożył uroczysty strój kapłana i wyszedł do nich w towarzystwie ubranego w galowy mundur oficera marynarki starszego syna, Jakowa, który właśnie powrócił z niewoli japońskiej po kapitulacji Port-Artur. Obaj stanęli na dziedzińcu, w oczekiwaniu, że policja zapanuje nad tłumem prześladowców, którzy

otoczyli kilkuset Żydów, zamierzając ich zmasakrować.

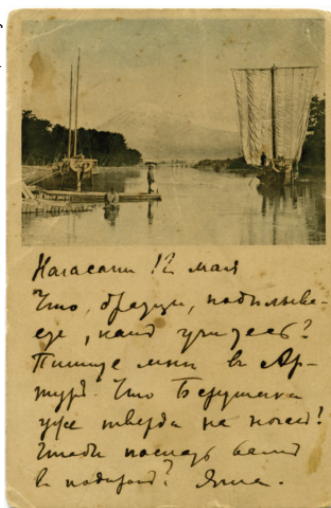
Kiedy policjanci zobaczyli, że hazzan i jego syn tak stoją w milczeniu i bezruchu, zdecydowali się rozwinąć szyki u wejścia na dziedziniec i wreszcie zainterweniowali. Rozwścieczeni uzbrojeni prześladowcy pobiegli dalej. Podczas tej strasznej nocy zginęło wiele osób.

A oto kilka innych rozproszonych kamyków z mozaiki przedstawiającej moich dziadków i ich rodzinę:

1899: Hazzan w Symferopolu, a następnie w Odessie

Informacje o moim dziadku znalazłem w artykule Siergieja Szajtanowa w kwietniowym numerze „Известия духовного управления караимов республики Крым” z roku 2016. Po ukończeniu studiów nad biblijnym hebrajskim, podjął pracę najpierw jako kupiec tekstylny, o czym też opowiadała mi moja odnaleziona rodzina. W roku 1899 został wybrany na stanowisko młodszego hazzana kienesy w Symferopolu i pełnił tam posługę do roku 1904, gdy wyznaczono go na *ułtu hazzana* kienesy w Odessie – funkcję tę pełnił aż do swojej śmierci w roku 1927. Z tego tytułu dwukrotnie

Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.



Pocztówka z Japonii wysłana do młodszych braci przez Jakowa Kefeli.

Na obchodach złotych godów Josifa i Arzu Kefelich w Odessie w 1924 r. zebrała się cała rodzina, która pozostała w kraju.



Fot. archiwum M. Kefeli, Paryż.

– w latach 1914 i 1915 – miał zaszczyt przemawiać, jako reprezentant społeczności karaimskiej, cara Mikołaja II. Josif Mojsiejewicz wszedł też w skład delegacji na uroczystości pogrzebowe Hachama S. M. Pampułowa, podczas których wygłosił mowę w języku karaimskim. Jego młodszy brat, Aaron Mojsiejewicz, hazzan reprezentujący podczas pogrzebu gminę w Melitopolu, swoje przemówienie wygłosił po hebrajsku.

1902: Pocztówka z Japonii

Kiedy poznałem Andrieja Olejnikowa, wnuka mojej siostry stryjecznej, Soni Bielikowej, który nadal mieszka w rodzinnym domu mojego ojca w Nikołajowie, pokazał mi troskliwie przechowywaną pocztówkę wysłaną w roku 1902 z Japonii do Symferopola, do młodszego braci, Minii i Monii przez stryja Jakowa podczas jego dalekowschodnich morskich podróży.

Pisał w niej tak: „Nagasaki, 12 maja [1902]. Co u Was, braciszczkowie, co porabiacie? Jak Wam idzie w szkole? A czy mała Berucha [najmłodsza siostra mojego ojca – przyp. aut.] już pewnie trzyma się na nóżkach? Napiszcie do mnie do Port-Artur. Jakie podarki Wam wysłać? Jasza”.

1918: Kto wystąpił w szacie hazzana?

W artykule *Моя поездка в Одессу*, który ukazał się w roku 1997 na łamach 31 numeru wydawanego w Moskwie periodyku „Караимские вести”, A. I. Bakkał opowiada o sztuce

teatralnej „Караимская свадьба”, napisanej przez Ester I. Oksiuz i wystawionej po raz pierwszy w Odessie w roku 1918. Przyglądam się fotografii przedstawiającej autorkę sztuki w otoczeniu aktorów w kostiumach scenicznych – zapisano także ich nazwiska. Czworo z nich to Kefeli. Rozpoznaje siostry ojca: młodszą, Wierę-Beruchę (w dolnym rzędzie 1. od lewej) oraz dwie starsze, Sarę-Serafinę i Annę (4. od lewej w środkowym i 7. w dolnym rzędzie). Skupiam uwagę na pierwszej osobie od lewej w środkowym rzędzie i rozpoznaję mojego ojca, jak też... stróż, który ma na sobie. To należący do dziadka płaszcz hazzana, który ojciec prawdopodobnie pożyczył, by wystąpić w nim na scenie, jak widać, w roli duchownego!

1924: Złote gody dziadków w Odessie

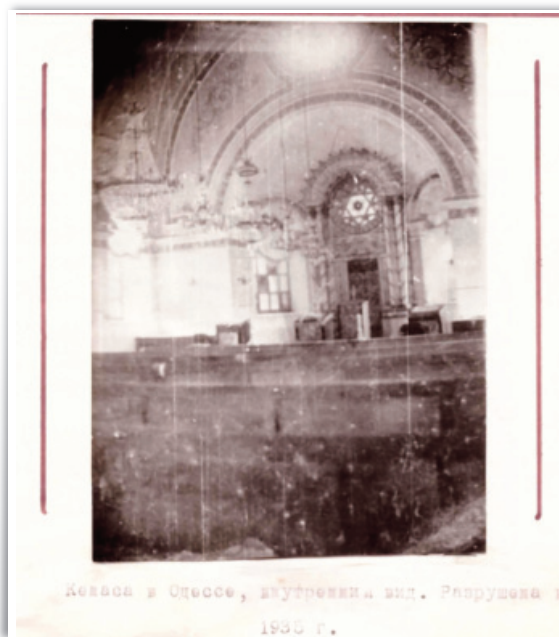
W roku 1924 moi dziadkowie uroczysto obchodzili pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Wśród licznych gości były te wszystkie ich dzieci, które pozostały w ojczyźnie: syn Benjamin-Wiktor oraz cztery córki: Sara-Serafina, Anna, Wiera-Berucha oraz najstarsza, Elena-Ester, której towarzyszyli mąż, Arkadij Władimirowicz Borodin i córeczka – pierwsza wnuczka dziadków – Liza (Elizawieta) Borodina-Kefeli.

Sześć lat później w Petersburgu dziewczynka ta miała stać się naocznym świadkiem dramatycznego wydarzenia: aresztowania swojego ojca, Arkadija. Jej córka, Natalia Borodina-Azarenko tak to opisuje po latach:

„Nic nie zapowiadało tego nagłego aresztowania. Nocą 18 lipca 1930 roku zadzwonili do drzwi. Stróż kamienicy, Iwan Nilow wprowadził dwóch młodych czekistów – jeden był w mundurze wojskowym, drugi po cywilnemu. Odczytali wydany nakaz: „Obywatel Borodin zostaje aresztowany, a jego mieszkanie numer 18 w kamienicy pod numerem 1/8 przy ulicy Bol’szaja Puszkarskaja należy przeszukać.

Rodzina Borodinów zajmowała mieszkanie numer 19, a nie 18. Gdyby stróż Nilow ich nie poprowadził, trafiliby do innego mieszkania... Rozgrzebali wszystko na biurku, a następnie wręczyli nam kopię listy przejmowanych wartościowych przedmiotów, przy czym z nieopętą dezynwolturą zostawili nam kilka astrańskich futer”.

Córka Borodina, Liza, „zalała się łzami i cała roztrzęsiona próbowała przekonać przybyłych, by nie zabierali jej ojca, przecież nic nie zawiń, nie ma powodu, by go aresztować... Moja babcia, Elena-Ester Josifowna Borodina-Kefeli, próbując uspokoić szlochającą córkę,



Fot. archiwum N. I. Kafeli. Jajta.

Zdjęcie przedstawiające wnętrze nieistniejącej już kienesy karaimskiej w Odessie, w której starszym hazzanem był dziadek Michela, Josif Mojsiejewicz Kefeli.



powiedziała jej: „Ci, którzy go aresztują, też nie są niczemu winni, po prostu zostali przysłani”.

Rewizję przeprowadzili niedbale, z roztargnieniem. Obaj udawali, że szukają czegoś konkretnego, ale niczego nie znaleźli. Zabrali tylko papiery i fotografie z biurka, by je przekazać do GPU¹. Wyprowadzili Arkadija. Pozostała po nim przerażająca pustka w mieszkaniu...”.

Arkadij Władimirowicz Borodin został skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Karę tę zamieniono na 10 lat obozu. Został przeniesiony do kolonii karnej Sołowki, gdzie w roku 1931 zmarł w wieku 48 lat. Został zrehabilitowany w roku 1959.

Jego córka Elizawieta, lekarz medycyny (podobnie jak jej matka), została odznaczona za odważną postawę podczas blokady Leningradu. Wnuczka, Natalia Nikołajewna Borodina-Azarenko prowadziła dalej batalię o pamięć należną dziadkowi Arkadijowi w książce „Bez

prawa do życia”, z której pochodzi cytowany powyżej fragment o jego aresztowaniu.

1927: Śmierć dziadka Josifa Kefelego

We wspomnianym już artykule o dziadku Josifie i jego bracie, Aaronie, Siergiej Szajtanow stwierdził: „Ostatni hazzan Odessy, Josif Mojsiejewicz Kefeli zmarł w roku 1927. Wraz z jego odejściem karaimskie życie religijne w Odessie przestało istnieć, bez wątpienia już na zawsze”.

W archiwum Seraji Szapszała w Wilnie znalazłem list stryja Jakowa wysłany w roku 1927, po śmierci dziadka. Stryj pisał: „Twoje serdeczne, ciepłe słowa na pożegnanie naszego ojca i dziadka wzruszyły nas do łez. Raisa, Michail, Siergiej i ja, wszyscy jesteśmy Ci głęboko wdzięczni za dobre wspomnienia o zmarłym i Twoje kondolencje.

Pokolorowana dawna fotografia niczym znak z przeszłości...

Po prawej tył budynku odeskiej kienesy, po lewej dom hazzana i midrasz. A w oknie nie kto inny jak hazzan Josif Mojsiejewicz Kefeli! Zdjęcie wykonano ok. 1912 r.

Widok z drugiej strony na podwórze domu hazzana w Odessie. Dodanie koloru sprawia, że fotografia wydaje się być zrobiona wczoraj. Tymczasem po tych budynkach od dawna nie ma już śladu.



Fot. archiwum cyfrowe E. Sokolskiego.

Na *niedawa*², gdy paryska społeczność Karaimów spotkała się na cmentarzu, by modlić się za dusze tych, którzy tam spoczęli, oraz bliskich i przodków pozostałych w ojczyźnie, kapitan Fiodor Semionowicz Forumda, pełniący obowiązki hazzana tutejszej gminy, osobno pomodlił się za duszę, która teraz dostąpiła progów tronu Najwyższego, duszę zmarłego w Odessie najstarszego reprezentanta duchowieństwa karaimskiego, Ułłu Hazzana odeskiej kienesy, *erbi*³ Josifa Kefeli, po czym odczytał na głos wzruszające fragmenty listu od zwierzchnika naszego duchowieństwa, Jego Eminencji Seraji Markowicza Szapszała⁷.

1935: Zburzenie Kienesy

Mój krewny, Andriej Olejnikow oraz Siergiej Szajtanow przestali mi fotografię ze zbiorów Nikołaja Kafellego, Karaima z Jałty, przedstawiającą wnętrze kienesy odeskiej. Dowiedziałem się od nich, że budynek został zburzony w 1935 roku. Opowiadano mi, jak bardzo płakała wtedy moja babcia Arzu.

HP: W imieniu czytelników serdecznie dziękuję Ci, że zabrałeś nas w tak piękną podróż, w której terażniejszość spotyka się z przeszłością. I do zobaczenia w trockim „Paryżu”!

■ ■ ■

MK: W chwili, gdy odpowiadałem na ostatnie pytanie Hanny Pileckiej, kończąc opowieść o poszukiwaniach korzeni mojego ojca, tę częściowo zatartą mozaikę wspomnień, przekazów i czarno-białych zdjęć, Siergiej Szajtanow sprawił mi niespodziankę, przesyłając kolejną fotografię znaną na fanpejdżu „Одесса, которой больше нет” („Odessa, której już nie ma”).

Ta fotografia nieznaną mi dotąd, nieprawdopodobna, w kolorze i przez to wcale niepodobna do innych starych zdjęć z przeszłości, sprawia wrażenie, jakby żyła własnym życiem. Przedstawia podwórze za odeską kienesą, a w głębi, w oknie domu hazzana widać... mojego dziadka, który obserwuje, co się dzieje... Wygląda, jakby w tym właśnie momencie dawał mi znak.

Michel Kefeli

Z języka francuskiego przełożyła Hanna Pilecka

Przypisy:

¹ GPU (ros. Государственное Политическое Управление – Polityczny Zarząd Państwowy) – sowiecka policja polityczna.

² *Niedawa* – z heb. 'ofiarowanie', określenie letniego postu (kar. *Kurban*), podczas którego członkowie społeczności odwiedzają cmentarz i zbiorowo modlą za zmarłych.

³ *Erbi* – tytuł osoby posiadającej religijne wykształcenie uprawniające do pełnienia funkcji hazzana.